Lwów, 15. Lutego. **Nr 20.** Rok 1855.

NOWINY

Wychodza we *Wtorek. Czwartek* i *Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. półr. **3** Złr. kwartal. **1** Złr. **30** kr. miesięczna **40** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr.— półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. **1** Złr.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się za opłatą od wiersza pismem petyt w przedział, ce za jednorazowe umieszczenie po **3** kr., za nastep. po 1½ kr. i za dopłatę 10 kr. stępl. za każ. dorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha*

DZIWO-ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

(Ciąg dalszy.)

XIX.

Śniegi jeszcze ogromne leżały w górach, kiedy Kamil przebiwszy się z wielkim mozołem przez tysiące zamieci, stanął nareszcie w swej wiosce rodzinnej.

Dziesięć lat w życiu człowieka czynią niezmierną a często nawet wcale niespodziewaną różnicę, ale dziesięć lat takich samych mijają zwykle bez śladu w górskiej, oddalonej od świata, wioszczynie. Nie zaszła też żadna zmiana przez te lat dziesięć w znanej nam zdawna pana Bonawentury siedzibie. Tenże sam dworek murowany, te same drzewa około niego, te same chatki wieśniacze, ciągnące się krętym łańcuchem i pozawieszane na stromych brzegach jak gniazda jaskółcze, i takież same życie, jak we dworze, tak w wiosce, do dziś dnia. Pan Bonawentura się trochę więcej podstarzał, ale to tylko o tyle, że mu czupryna pobielała jak mleko i nos się jeszcze bardziej zakrzywił i zwiesił nad gębą, — zresztą był on jeszcze dość rzeźwym i nie porzuciwszy swego tabaczkowego surduta i woskowych bótów, tak samo teraz z żołnierskim rygorem prowadził swe gospodarstwo jak przed tem. Stary Szłyk żył jeszcze sobie w najlepsze i nie odmienił się ani na jotę, — trochę mniej teraz polował, trochę więcej się modlił i na rumatyzm czasami narzekał, — ale humor jeszcze ten sam mu pozostał, ta sama uległość dla pana Bonawentury i to samo junactwo pod każdym względem, a kiedy kto chwalił jego sił czerstwość i jego wiek piękny, to on wzruszał tylko ramionami i mówił:

— Czemu tu się dziwić! Quintum diabłum mospanie, to rzecz narodowa! Polak, gdyby się szanował za młodu to-by nigdy nie umarł: bo tak napisano. Ale żaden się nie szanuje i dlatego mrą sobie hultaje tak jak inne narody. I ze mną tam Boże odpuść, różnie bywało za młodu.... to też już niebawem podobno trzeba będzie przypasać szablinę a pomaszerować *ad patres*. Prawdę mówiąc niemasz też już czego tu dosiadywać: świat coraz głupszy, młodzież coraz lichsza, z ludźmi ani się dogadać, pany na dół, chłopy w górę, starzy za piec, młodzi naprzód, szlachcic za nic, żyd za panie bracie...a!. licho-by wam tu dosiedziało!

O powrocie Kamila z zagranicy wiedziano tam już od dni kilku i od kilku dni już wyglądano jego przybycia. Przez ten czas stary wachmistrz wybiegał co moment na ganek, zasłaniał ręką oczy od światła i patrzył ku drodze a powracając do izby, powiadał swemu przyjacielowi:

— Założę się o to, że gdzieś zagrzązł w śniegach i siedzi. Bo co-by robił dotychczas we Lwowie?

— Ot! co-by robił! — mówił na to pan Bonawentura, — tylu tam ma przyjaciół, tylu znajomych, a zresztą, jak nam pisze, w innej jest teraz sytuacyi, to to takich mieszczuchy nie prędko wypuszczają z pomiędzy siebie.

—A ja powiadam jegomości, replikował Szłyk na to,— że się mu coś niedobrego zdarzyło na drodze, bo chociaż-by tam niewiedzieć jak kochał tych mieszczuchów, to to przecież zawsze pierwszy ojciec u niego.

— Ej! nie te to już czasy czasy, mój panie Janie! gdzie-by się tak bardzo kochano w rodzinie. Kto ją ma, ten jej pewnie nie ceni, a tylko ten chyba potrafił-by godnie uszanować swojego ojca, który go nigdy nie widział, i chyba ten-by potrafił ukochać brata, który tęskni za nim przez całe życie i dotęsknić się go nie może.

— Znajdziesz jeszcze jegomość i brata, — mówił Szłyk na to, — tylko miej cierpliwość i ufność; bo kiedy Kamil powrócił, który już tu był obłożony banicyą a jeszcze i tam podobno nie bardzo się zasługiwał ku temu, ażeby przewinienia swe zatarł, to cóż tam *quintum* diabłum brat jegomości, który pewnie więcej nie winien, jak my obadwa?

— Ba! Kamil! Kamil był winien, lecz żył przytem, a mój brat nie winien ale może dawno już zginął!

— Ha! jeśli zginął, to niema co gadać, chyba *requiescat in pace*.

I tak różnemi domysłami i przewidzeniami rozpędzali obadwaj staruszkowie swą niecierpliwość, — aż też nakoniec Kamil rzeczywiście nadjechał.

Wielka tedy była w całym domu pociecha. Pan Bonawentura się nie posiadał z radości i zapomniawszy o swojej tak surowo przestrzeganej powadze, po kilka razy na przemian to płakał, to śmiał się. Słudzy wszyscy tłumnie się zbiegli do pokojów, ażeby oglądać i powitać panicza, starszyzna gromady przyszła w deputacyi dla złożenia hoł-

du synowi swojego dziedzica a z nią i żyd arendarz, i kowal miejscowy, i cała owa gawiedź wiejska, zawsze obdarta, bez zatrudnienia, i zawsze łaknąca gorzałki i chleba, — urodzona w Galicyi w roku czterdziestym szóstym, i czekająca z niecierpliwością czterdziestego ósmego, w którym miała po raz pierwszy wystąpić na scenę, odbyć obrządek chrztu swego, przybrać w nim zacne imię proletariatu i odegrać swą niemowlęcą rolę w gwarze wrzaskliwych wypadków — ale pomimo to bardzo ważne narzucić pytanie krajowi, składającemu się moralnie i tak już tylko z samych nierozwikłanych zagadek i pytań.

Wielka tedy feta była dnia tego w małym dworku niewielkiej wioszczyny. Pan Bonawentura całą swoją hierarchią wypuścił z klubów, uwolnił domowników od pracy a gości kazał częstować i karmić, zlecając dozór nad tem Szłykowi; ale Szłyk zlecił go znowu komu innemu a sam chodził jak bocian kulawy na około Kamila, zastosowując swoje *Quintum* diabłum do najróżniejszych wykrzykników afektu i podziwienia.

Takie przyjęcie w domu rodzicielskim bardzo zbawienny wpływ zrazu wywarło na umysł Kamila. Z wesołymi był wesół i o wszystkiem zapomniał — a po latach dwunastu dzisiaj pierwszy raz może szczerze i swobodnie rozweseliło się serce jego i nie ironiczny uśmiech osiadł na jego twarzy. Przez całą też resztę dnia tego opowiadał z niewyczerpanym dowcipem dzieje swojego pobytu za granicą a obadwaj starzy słuchali go z równie niewyczerpaną ciekawością.

Drugiego dnia trwały jeszcze równie zajmujące dla stron obydwóch opowiadania, które jeszcze może więcej zajmującemi były dla tego, że ich przedmiotem były owe ogromne sumy pieniędzy, które Kamil w Marsylii zarobił i przywiózł ze sobą.

Ale trzeciego dnia przyszedł on z kolei na swoje osobiste wypadki, na owe uczucia, zamiary, nadzieje, zawody, które były główną treścią jego życia. Z najżywszą też uciechą przystępywał on do tego opowiadania, bo czuł to, jak wielką ulgą jest dla każdego cierpiącego człowieka, kiedy może z kimś bliskim sobie podzielić się swojemi smutkami, uskarżyć się przed nim na swych nieprzyjaciół, usprawiedliwić się z swoich błędów, wywołać z grobu żywemi słowy martwe już teraz nadzieje; — pierwszy też raz dzisiaj zdarzyła mu się po temu sposobność!

Ale niedługo mógł się on weselić i tą drobną uciechą. Wkrótce bowiem przekonał się, że nie potemu byli jego słuchacze. Obadwaj starzy byli zanadto starzy a za mało oświeceni dla niego. Pan Bonawentura wcale go nierozumiał a mierząc jego myśli i czyny miarą swojego czasu, zbijał go najfałszywszemi dowody, — pan Jan zaś, słuchając piąte przez dziesiąte i nie wiedząc nawet częstokroć o co rzecz idzie, krzesał drewniane dowcipy i rzucał najnieznośniejsze uwagi. Doświadczenie to zbiło z tropu Kamila, — przerwał swoje opowiadania, umilkł i obciągnąwszy świeżym smutkiem swoje na chwilę rozweselone oblicze, zalał na powrót serce dawną goryczą.

Parę dni potem jeszcze minęło, z których każden był coraz smutniejszym dla Kamila. Wprawdzie jeszcze zawsze znaczna część dnia mu mijała na opowiadaniu różnych zagranicznych ciekawości, o które starzy go wypytywali, ale za to godziny samotne napawały go coraz czarniejszemi myślami. I dom ojcowski i ciche, wiejskie ustronie, w którem spodziewał się znaleźć zbawienny dla siebie spoczynek, wszystko to teraz straciło wszelki urok dla niego. Cisza wiejska wydała mu się jakiemś strasznem milczeniem śmierci, pobyt na wsi dziwnie ckliwym i nudnym, wieś sama jakąś dziką, barbarzyńską osadą, w której mu było duszno i ciasno, w której żadnego nie mógł wynaleźć dla siebie zajęcia, żadnego widoku a co najgorsza, ani jednego sobie równego człowieka. Sam i wiecznie sam na tym świecie, i dzisiaj jeszcze sam, kiedy już wszystkie w nim pozrywały się struny, które go niegdy tak mocno przywięzywały do świata, nie mógł on sobie dać rady ze sobą i trapiąc się ową straszną, zabijającą myślą: co począć ze sobą? — w kilku dniach był już bliskim owego ostatecznego o sobie zwątpienia, które ludzi chłodniejszych rzuca w wiekuistą apatyę a gorętszym broń samobójczą podaje do ręki.

W jednym atoli z tych dni pokazał się ksiądz Augustyn w domu pana Bonawentury. Czcigodny kapłan ten, zawsze przyjacielski dla ojca i całem sercem przywiązany do jego syna, dowiedziawszy się o powrocie Kamila, pojechał był zaraz do Lwowa, a nie zastawszy go już tam, przybiegł czemprędzej za nim. Widok dawnego przyjaciela, od którego niegdyś tyle rad dobrych i tyle prawdziwie ojcowskiej doświadczył opieki, bardzo żywe uczynił na Kamilu wrażenie, ale nie powrócił mu wcale tego dobrego usposobienia, w jakiem się znalazł w pierwszych chwilach swego teraźniejszego w domu ojcowskim pobytu. Spostrzegł to zaraz tak biegły znawca ludzi, jakim był ks. Augustyn, i z tem żywszą ciekawością począł się domagać od niego jego historyi życia. Dla tego tylko, że nie mógł odmówić, opowiadał Kamil, o co go pytano, takie też zrazu było jego opowiadanie; wszakże dostrzegłszy niebawem, że wcale innego ma teraz przed sobą słuchacza, rozgadał się wkrótce tak, jak tego pragnął jego życzliwy przyjaciel. I tak te opowiadania przeciągały się od godziny do godziny, od dnia do dnia nareszcie, aż póty, póki ks. Augustyn nie wyspowiadał opowiadającego ze wszystkich najdrobniejszych wypadków, które kiedykolwiek zajmowały jego umysł, albo zaciężyły na jego sercu.

Przez taką spowiedź, uczynioną przed człowiekiem, umiejącym uczuć wszystko i wszystko zrozumieć, ulżyło się wprawdzie Kamilowi z jednej strony na sercu, lecz z drugiej za to tylko tem wyraźniej przedstawiła mu się jego cała przeszłość, tem jaśniej okazały mu się wszystkie

jego życia zawody i brak zupełny jakiejkolwiek przyszłości. Dla tego ukończywszy opowiadanie ostatnich wypadków i uczyniwszy kilka rozpaczliwych uwag nad własnem swem życiem, dodał nakoniec te słowa:

— I tak się zerwały ostatnie nitki, mogące mnie jeszcze wiązać ze światem żyjących. Świat ten pomimo to żyje i ja jeszcze niby-to żyję, ale cóż mieć mogę wspólnego z jego sprawami? Siły moje potargałem do szczętu, uczucia porozrzucałem wszystkie i wypróżniłem serce moje do dna, — pozostały mi chyba jeszcze myśli moje, z których mogę sobie zbudować mieszkanie i w niem zamknięty, jak owad w swym domku, dosnuć do reszty tych dni czczych, pustych i nudnych, póki się piasek nie wysypie z klepsydry, tak że prawie rzec mogę z poetą:

O tęczowa!
Kopuło myśli, tyś moim kościołem!
Wymalowana, barwna, księżycowa,
Nad martwym duszy wisząca aniołem;
Modlitwą w tobie są rozpaczy słowa,
Serce wygląda jak urna z popiołem,
W najtajemniejszej kaplicy stojąca,
Tak jesteś, gdy cię żaden wiatr nie trąca.

Lecz kiedy burza zawieje i wzruszy
Z filarów ciebie, kopuło tęczowa,
Pękasz jak niebo nad aniołem duszy;
Próżno się broni w błyskawicach głowa,
Cały gmach na nią upada i kruszy,
I ją i serce, które biedna chowa
Jak smętny łabędź pod skrzydły białemi.
Pękło — popioły rozwiał wiatr po ziemi.

Skończona wielka tragedya powagi
I ciszy greckiej; — reszta wiatru wyciem,
Myśl zabłysnęła nagle jak miecz nagi,
Marzenia stały się czynem i życiem,
Czyny się stały piorunem odwagi —
Rozbiły kościół! — Pod jego rozbiciem
I serce pękło i burza przewyła....
Z wszystkiego, patrzcie co?

— «Krzyż i mogiła!“ powiada poeta, — rzekł na to ks. Augustyn, — ale ja tego nie powiem. Ja ci raczej przypomnę innego poetę, który podobno pierwszy głos niegdy miał między wami, który wam wiele pieśni zwodniczych naśpiewał, ale który was stworzył, dał wam oddech, dał czucie i życie a puszczając was w pęd, rzekł wam wyraźnie: A chociaż który z was legnie wśród zawodu, da przezto szczebel do sławy grodu! — Wierszów już nie pamiętam,ale treść ich pamiętam,bo treść ta jest prawdą.

— Prawdą w głowie i w książce, — rzekł na to Kamil, ale fałszem w rzeczywistości a trucizną dla ludzi. Mogłaby może być prawdą i dla nas, gdyby nam wolno było podług jej miary porobić ludzi! Ale

Żeby też jedna pierś była zrobiona
Nie podług miary krawca, lecz Fidyasza!
Żeby też jedna pierś jak pierś Memnona!
Żeby też jedna!... Ha! to mnie przestrasza!
Bohater przeczuł was, krzycząc: s k o ń c z o n a!
Z krzyża swojego krzyknął tak, a wasza
Pierś to pojęła, z tą myślą umiera...

— Hola! panie bracie, — zawołał na to ks. Augustyn, — wybrałeś sobie szaleńca poetę i za nim powtarzasz krwawe wybuchy ostatecznej rozpaczy. Jeżeli to czynisz dla zabawki, to grzeszysz sercem, jeżeli dla nauki, to grzeszysz głową. W obydwóch zaś razach utwierdzasz siebie w błędach, w których i tak już siedzisz po samą szyję.

— Ale mój księże kochany, — rzekł Kamil, patrząc pół-obłąkanemi a pół-ironicznemi oczyma w poważną i spokojną twarz kapłana, — powiedz mi też z łaski swojej co jest błędem a co prawdą w tem życiu?... Mnie pan Bóg obdarzył jeżeli nie bystrem to przynajmniej zdrowym rozumem, od lat dziecięcych wiedziałem zawsze co czarne co białe, matematyka, najnieomylniejsza ze wszystkich nauk, była u mnie zawsze podstawą wszelkiego rozumowania, matematyka stała się nawet mojem rzemiosłem, przeszedłem potem wszystkie jakie są tylko na świecie nauki, wyssałem wszystkie prawdy z historyi, przeszedłem świat i własnych nie mało poczyniłem doświadczeń — i patrz! com tylko kiedykolwiek zamierzył w mem życiu, wszystko mnie zawiodło, myśli moje wszędzie się wywracały na nice, najsumienniejsze wyrachowania nie wytrzymały próby, matematyczne prawdy zamieniły się w fałsze, droga światowego porządku wyszła z swej dawnej kolei, nieubłagana konieczność nawet zmiękła i ustąpiła miejsca przypadkom! I ja mam dziś wiedzieć, co jest prawdą, co fałszem w tem życiu? i ja mam nie wierzyć, że nademną że nad nami wszystkiemi wisi jakieś straszne, nieodwołalne przekleństwo? że dla nas już nie masz ani prawd, ani fałszów, tylko śmierć powolna, niepowstrzymana niczem, łamiąca w swym pochodzie ewanielie i prawdy, jeniusze i bohatery! i w tej śmierci uginając się coraz niżej ku trumnie, ja mam zostać obojętnym, spokojnym, — i nie rozpaczać? i nie przeklinać?...

— Nie, — odpowiedział sucho ks. Augustyn.

— Ha! to naucz-że mnie, mój księże, — rzekł Kamil na to, — a jeżeli tylko mi trafisz do przekonania, ani jednem słowem ci się nie sprzeciwię i będę tobie powolnym, jak żak szkolny, jak wiejskie pacholę, przychodzące po pierwszy raz do spowiedzi.

— Zbyt wiele pytań mi,zadałeś od razu, ażebym ci mógł na nie kilkoma odpowiedzieć słowami, ale pomału przejdziemy je wszystkie. To rzekłszy ksiądz, zażył tabaki i tak mówić zaczął: — Owoż tedy najpierwej trzeba ci wiedzieć, że nie będę mówił do ciebie, tylko do was,

do wszystkich twych rówieśników, do całego pokolenia, bo *exceptis excipiendis* wszyscyście jednakowi, którzyście się porodzili około drugiego dziesiątka niniejszego stulecia i pierwszą młodością swoją padli w te czasy, w których po raz pierwszy w naszym narodzie zmartwychwstały duch pieśni gminnej zagrał na harfie mistrzowskiej. Głos ten obudził pierwsze uczucia w dziewiczych sercach waszych, natchnął swym duchem głowy wasze, rospalił swoim ogniem dusze wasze i zrazu podbił całkiem istoty wasze. I byłoby pewnie dobrze działo się z wami, gdybyście byli na zawsze zostali niewolnikami tej czarodziejskiej harmonii, bo ona, pomimo wielu fałszywych tonów, które się odzywały w jej licznych akordach, gorącem sercem kochała Boga, w chwilach czystego natchnienia umiała uklęknąć z pokorą przed świętą wiarą i dziecięce kwilenia swoje zamieniwszy w ton męski, dojrzały, namiętnie się roskochała w pamiątkach narodowej przeszłości. Ale wyście się wkrótce już zbuntowali przeciwko owej gwieździe promiennej, która miała was zaprowadzić do Betleemu. Z jej niezliczonych promieni i natchnień utworzyliście sobie myśl jedną. Z tej myśli utworzyliście sobie ideę — a z tą ideą rozbiegliście się po umysłowych krainach całego świata, ażeby ją cudzoziemskiemi wynalazkami wzbogacić! Na tej wędrówce, odbywanej zwykle za pomocą książek pomiędzy czterema ścianami jakiegoś ciasnego poddasza, pozawięzywaliście niedorzeczne a zgubne dla was sojusze z krwawemi zasadami zagranicznych szaleńców i marzycieli, przyuczyliście się żyć w sobie, pozrywaliście wasze przyrodzone związki ze żywym światem, przyzwyczailiście się do pustych, dalekich a ognistych marzeń i fantazmagoryi, utonęliście w świecie oderwanych teoryi, przyswoiliście sobie tysiące żądz, namiętności, pochuci, a wśród tego idea wasza wyrosła w usystemizowaną zasadę, którą ogłosiliście światu jako nieomylną i jedynie zbawienną wiarę przyszłości. A tymczasem wiara ta, złożona z suchych teoryj bez żadnego względu na rzeczywistość, obrana z wszelkich warunków żywotnych i będąca w głównej swej części ujemną, niszczącą, destruktywną, nie była żadną wiarą, tylko po prostu filozofią, i to filozofią niestety! taką samą względem narodowej przyszłości, jak filozofia Woltera względem katolickiej religii. Wolterowska filozofia była pogańską przeciwko świętości religii, wasza filozofia pogańską przeciw świętości narodu; — jego zasady odegrały ważną rolę w rewolucyi francuskiej, wasze zasady sprowadziły inną katastrofę, różnego wprawdzie od tamtej znaczenia, ale jednakowugo końca. Bo być inaczej nie może: i ten, który się targa na wiarę, okupioną krwią Boską, i ten który się targa na wiarę okupioną całemi strumieniami krwi ludzkiej, giną zarówno a przeznaczeniem ich — zawód najokropniejszy i wiekuiste nicestwo. Takie jest moje zdanie o waszych wszystkich marzeniach, planach, zabiegach, uczynkach, zawodach; — patrzałem na to wszystko własnemi oczyma, dzieliłem może nawet sam niektóre myśli wasze i niektóre nadzieje, — ale nigdy w to nie wierzyłem, ażeby słowo, wypowiedziane bez Boga i rzucające rękawicę dziesięciu wiekom, pełnym powagi i sławy, mogło się kiedykolwiek stać ciałem. (D. c. n.)

NIETOPERZ.

Raz wiodły z sobą bój srogi
Ród ptasi i czworonogi.
Długo los nierozstrzygniony,
Ważył się na obie strony,
Nietoperz co walczył z niemi,
Korzystając z każdej chwili
Zawsze obstawał za temi,
Gdzie się zwycięztwo pochyli.
U ptaków grał rolę ptaka,
A myszy u czworonogów,
I do czasu zdrada taka
Uszła przed uwagą wrogów.
Lecz gdy walczące narody
Przyszły nareszcie do zgody,
Jak zwykle było i bywa,
Wyszła zdrada jak oliwa.
Odtąd wzgardzon, zawstydzon, bez czci i pomocy,
Bojąc się zdrajca światła, musi latać w nocy.
Kto na dwóch stołkach siedzi lub dwóm panom służy,
Niechaj sobie zawczasu taki koniec wróży.

A. P.

PIERWSZA WIZYTA.

Z Złoczowskiego.

(Dokończenie).

I byłbym zapewne, jak koń w zaspie śnieżnej długo tak siedział, gdyby nie gospodyni, która podbiczowała mnie z tryumfującą miną z mego skonfundowania, szyderczem zapytaniem?

— Czy panowie mieliście dobrą sanną drogę?

O źle! pomyślałem sobie. Pyta o śnieg i powietrze jakby pannę z konwiktu o lekcyą francuską. Oczywiście kpi. Dobrze i tak panie Kłapkiewicz, na co ci pierwszej wizyty? Ba ale jakże znowu było przyjść od razu do drugiej? Na moje szczęście, ledwiem co:

—Tak jest! pani dobrodziejko, sanna doskonała! wyrzekł, pojawił się lokaj z urzędową miną, i wprost do ucha pani się przysunął. Dosłyszałem tylko:

— Te sucharki, co zostały po huzarach, i strucla z wilii.

— Strucla z wilii! Okrutny dekret na moje popsute zęby! Spociłem się na samą myśl.

Korzystałem zręcznie (sam się muszę pochwalić) z tego intermezza lokajskiego i przysunąłem się do najstarszej, nad »Czasem« ślęczącej matrony. Do zmienienia mego stanowiska zdecydowałem się uwagą, iż starsza, skoro tylko o czem mówić zacznę, jak zegarek nakręcony sama już dalej pójdzie, a przynajmniej nie będzie mnie tak do protokołu brała jak młoda.

Jakoż niezawiodłem się w mojej rachubie, bo ledwie żem coś o dawnych czasach napomknął, owa matrona sama cały dyskurs dalej prowadziła, a mnie pozostał tylko obowiązek; przysłuchiwania się z nabożną miną. Śmiało też potakiwałem, kiedy tylko na młode pokolenie narzekać zaczęła.

Obowiązek słuchania nie jest tak trudnym, więc pełniąc go najsumienniej, odetchnąłem z pierwszego wizytowego przestrachu najzupełniej. Rozmowa stała się ogólną, pani domu wyszła na moment — zapewnie za owemi sucharkami i struclami, a ja nawet do tego stopnia moją odwagę posunąłem, żem się przysunął do stolika, przy którym siedziała panna Innocenta z wzorkami i Nowinami.

W tem przybliżył się do mnie mój łóżkowy przyjaciel jak go nazwałem, i snać dostrzegł jakiś nieporządek w mojej toalecie, bo niemiłosiernie skrzywiwszy się, szepnął mi parę słów do ucha. Spojrzałem po sobie i rzeczywiście znalazłem się w nieporządku, spowodowanym przy owym saltu mortali, przez klomby.

Ponieważ rozmowa stała się ogólną, a pani wyszła, zażyłem więc powtórną porcyę odwagi, i wyszedłem do owego przedpokoju. Wszedłem dość cicho, bo w przyległym kredensie wcale mnie nie słyszano. Że ów pokój był kredensem domyślałem się z dolatującej mnie woni palonej kawy.

Przyłożyłem oko do szpary drzwi nieco odchylonych, (przepraszam mocno wszystkie panie za wdzieranie się w ich prawa), i ujrzałem tam ową drugą część komedyi fredrowskiej, to jest, tylko jednę, lecz za to prawdziwą śmietankę pokojówczaną, czyli samą pannę respektową Fruzię. Zuzia bowiem szyła coś w oficynie u pani ekonomowej, a Juzia poszła nawet do krów, jak mi później na wsiadaniu lokaj powiedział.

Otoż Fruzia siedziała nad książką jakąś, a tuż przy niej pan dyrektor Ołówkiewicz.

Nie ma nieszczęśliwszej figury w świecie, jak pan dyrektor na szlacheckich dworach. Jeżeli kto to niezawodnie wszyscy polscy panowie dyrektorowie, jako prawdziwi męczennicy, wprost powinni pójść do nieba. Niema usługi którejby pan dyrektor niepowinien się podjąć. Zawsze na zawołanie i wszystkim na rozkazy.

— Panie Ołówkiewicz! czego ten kucharz tak się guzdra z obiadem! woła pani. Panie Ołówkiewicz przynieś też ową dobrą kminkówkę do śniadania! woła Jegomość. Panie Ołówkiewicz zapakuj też moje trzewiki! woła panna. Panie Ołówkiewicz, pomóż pudełko przysznurować — kapelusz mi potrzymaj, kalosze podaj, a kiedy już nawet jejmość siedzi w powozie, jeszcze biedny Ołówkiewicz drzwiczki zamykać musi. Słowem, taki Ołówkiewicz jest tem na wsi, czem był wachmistrz Dorosz w swoim pułku gdzie o wszystkiem musiał pamiętać.

„Dorosz! a czy kute konie,
„Dorosz, na sąd i do rady,
„Dorosz służbę ma w szwadronie
„Dorosz, jedzie dziś na zwiady,
„Słowem panie mówiąc krótko,
„Hasłem w pułku imię moje.

Otóż takim Doroszem jest na wsi każdy Ołówkiewicz, a czem pan dyrektor na małą skalę, tem guwernerowie na większą, to jest grzeczniej, delikatniej i z dystyngowaniem ale zawsze umęczeni tysiącznemi grymasami.

Nasz zaś pan dyrektor stał nad książką, którą Fruzia czytała. Zaraz z tego domyślił się mój geniusz, że Fruzia jest panną respektową, bom na własne oczy widział ten wielki respekt, który jej pan dyrektor okazywał, wykładając zasady swoje w teoryi płynu elektro-magnetycznego; Fruzia słuchała go z uwagą, godną uczennicy pierwszego lwowskiego konwiktu, gdyż zapomniała na śmierć o rozkazie pani, która poleciła narąbać jej cukru do herbaty.

Lokaj Franciszek więc wyręczył Fruzię w tej robocie koło pieca, i to najskrupulatniej, bo co urąbię kilkanaście kawałków, natychmiast odbiera z nich dziesięcinę. Nie dziwcie się jednak, że Franciszek dzielił się cukrem z państwem swoim bo miał on na wsi żonę i dzieci, więc dowodził tym czynem iż był dobrym mężem, dobrym ojcem, a że i dobrym złodziejem, cóż dziwnego?

Wszak lokaj Franciszek był lokajem czystej krwi prawdziwy folblut-lokaj, z dziadów pradziadów lokaj, miał całe drzewo genealogiczne lokajów, i to niesfabrykowane — nota bene! — Był to więc prawdziwy lokaj arystokrata! I rzecz dziwna, bo pomimo że jeszcze pra-pradziad jego był fagasem, on trzymał się wiernie ojców swoich wiary, i dotąd ani dóbr nie kupował, ani nawet dzierżawy nie brał.

A wiecie poczem poznaje się takiego lokaja arystokratę? Po trzech przymiotach: Najprzód jest impertynentem z całą pochodzeniu wysokiemu odpowiednią dumą rodową; powtóre kradnie porządnie i gdzie może, jakeśmy to widzieli, nareszcie przy każdym wyjeździe odprowadza cię nielitościwie aż do bryczki i łapę nadstawia.

Poprawiwszy toalety wróciłem do salonu. Tam zastawione już były wszelkie przyrządzenia herbaciane z owemi sucharkami i struclami, a pani Zygmuntowa zapytała mnie wchodzącego:

— Czem pan pozwolisz sobie służyć, kawą czy herbatką?

Zerknąwszy na stolik, a nie ujrzawszy tam nic weselszego, prócz smutnej śmietanki, odrzekłem z rezygnacyą:

— Proszę o kawę.

Popatrzył się na mnie z boku mój przyjaciel z niejakiem niedowierzaniem, lecz w krótce domyślił się powodu tego spartańskiego postanowienia, ujrzawszy we flaszeczce prawie perfumowej, na samym spodzie trochę soku wiśniowego.

—Czy pan — ciągnęła dalej pani domu — karnawał przepędzisz we Lwowie?.

— Choć nie karnawał lecz zapewnie ten czas w którym się odprawia, bo dla interesów muszę nazad wrócić do Lwowa, z kąd niedawno co wyjechałem.

— Niedawno?, a cóż tam słychać nowego?

— Czy o polityce?

— Nie, tak z nowin.

— Wszak pani dobrodziejka sama trzymasz Nowiny.

— Ja się pytam o takie, które się niedrukują.

— Grzecznie powiedziawszy: o ploteczki.

— Niech i tak będzie.

— O takich i mówić nie wolno.

— A przecież pan nie zalecasz się milczeniem, odcięła gospodyni.

—Więc mówią: że w tym karnawale będzie kilka ślubów, i to niezwykłych.

— A jakichże, czy teraz już nawet żenią się inaczej?

— Jak się u nas żenią? ten temat wymaga osobnego studium, bo najrozmaitsze i co raz nowsze są tego sposoby. —

— Ja proszę o najnowszy, bom prosiła o nowiny.

— Najnowszy jest czysto postępowy, popańszczyźniany.

— A to znowu jaki? Słucham.

— Podczas tegorocznych zapust będą w modzie damskie suknie z osobliwszej materyi, bardzo poszukiwanej, a cudownie pięknej. Młodzież lwowska, dała sobie słowo honoru, (którego tym razem niezawodnie dotrzyma) iż tylko o względy tej panny starać się będzie, która ściśle do tej mody zastósować się potrafi.

— Z jakiej że to materyi, zapytała ciekawie panna Innocenta, która dotąd cicho siedziała, poczuwszy swą panieńską naturę.

— Otoż tego karnawału cały ubiór kobiecy, począwszy od trzewika, a skończywszy na kapeluszu, nosić będą z...

— Z materyi? przerwała niecierpliwa, choć zaręczona panna.

— Bardzo drogiej.

— To nic, przecież mi papa żałować nie będzie.

— Nie wątpię, że miałby chęć... lecz...

— Lecz... ta materya jak się nazywa?

— Obligacya indemnizacyjna, odrzekłem.

— Jak? co?.

— Obligacya indemnizacyjna, powtórzyłem, i im więcej tej materyi która z pań potrafi nawieszać na siebie, tem pewniej pójdzie tego karnawału za mąż.

Panna, choć zaręczona, skrzywiła się okropnie na mnie, bo ona gotową była na wszystkie inne obligacye, byle nie indemnizacyjne.

— Ha! ha! ha! zaśmiała się pani Zygmuntowa, masz teraz za swoją ciekawość, a ja dalej, tym razem już nie skonfudowany, ciągnąłem:

— W rzeczy samej, ta postępowa moda tak mocno podobała się naszym kawalerom jednogłośnie, iż na ogólne żądanie, wydawca „Nowin" kazał w osobnym dodatku do rycin paryskich, litografować: Salopy z obligacyj indemnizacyjnych, jakieś mantyle, zarzutki, szlafroczki, słowem cały ubior kobiecy, ze wszystkiemi detalami, których nawet nazwać nie umiem, indemnizacyjny. Która więc zdoła dokładniej, obficiej, sumienniej, to jest bez fałszywej podszewki, zastosować się do tej szanownej mody, ta najniezawodniej pójdzie za mąż.

— I tem będzie nieszczęśliwszą! odrzekła gospodyni. Nie wiedzieć z jakiej miłości pójdą za mąż, a zaczynają po kilkuch leciech wzdychać. Czy także z mody?.. Nie wiem.

Wszyscyśmy zamilkli. Drudzy zapewnie, bo nie chcieli przeszkadzać dumaniu, krok krok po westchnieniu następującemu, ja, bom się wygadał i konceptu brakło.

Mrugnąłem więc na przyjaciela, ukłoniłem się trochę zgrabniej jak na wstępie i wyszliśmy.

W przedpokoju posłyszałem z kredensu dalszy ciąg fizyki experymentalnej. Już teraz nawet wystrzałem z nabitej elektryczno- magnetycznej bateryi — vulgo całusem objaśnianej.

Lokaj folblut odprowadził nas z nadstawioną łapą aż do sani, a w oknie pokazało się dwoje piorunujących prawdziwie oczu panny Innocenty, lecz zawsze ciekawie z poza firanki za odjeżdzającymi spoglądających.

List gospodarza wiejskiego

Ypsylona.

Nie wiem czy jestem gospodarzem bo dalibóg! że niemam na to dyplomu. Ale to pewna iż siedzę na wsi, iż dłubię w ziemi, iż mnie w «Nowinach» najmocniej rozciekawił napis: «Listy gospodarza wiejskiego. Więc czytać! Na bok przesadzona skromności! Lecz muszę jednak mieć żyłkę gospodarską, kiedy mnie te listy tak ubawiły jakby jaki ucieszny romans. Mówię prawdę; ale nietylko ubawiły, jeszcze niepiśmiennego do pisania podżegły. Bo pomyślałem jeżeli jedna figurka abecadła klasycznego, jeżeli delta wyciągnąwszy extrakt z Tygodnika rolniczego, dodawszy kilka kropelek uniesień i szumowin deklamacyjnych może śród karnawału robić *klamantes,* dla czegóżby nie mógł Ypsylon? Na pierwszy rzut oka nie zdawałoby się rzeczą stósowną przed umysły rozegrzane zabawami, zaprzątnione balami i maszkaradami stawiać okropne widmo Dublan. Ale na wszystko znajdzie się tłumaczenie w historyi. Wszakże Szekspir wprowadził ducha ojca Hamletowego na ucztę. Jestto„ powia-

da uczony Gervinus, wyrzut sumienia przedstawiony plastycznie, widomo. Nie przeczę! Ale pomiędzy niewinnemi duszkami, zwłaszcza białogłowskiemi, unoszącemi się teraz rozkosznie po toniach harmonij, niema najpodobniej jednej, któraby była winną śmierci starego Hamleta, czyli po gospodarsku mówiąc, któraby była winną nabycia Dublan. Na cóż więc ów plastyczny wyrzut sumienia? To sęk! Ośmielam się sam z siebie zrobić tę uwagę, bo na jej poparcie nie mogę przytoczyć żadnego tomu »Tygodnika rolniczego« iż sęk jest przedmiotem godnym zastanowień gospodarskich. Twardyż to i ten sęk być musiał kiedy na jego zgniecenie mój koleżka, rozumie się z abecadła klasycznego, rozwala groby, wywołuje cienie szanownych przodków, ściąga ogromne liczby statystyczne, wynoszące 1548 mil kwadratowych, 5,802,736 morgów roli, 3,415,534 morgów łąk i pastwisk, 4,237,431 morgów lasów i pięć milionów mieszkańców, licząc już w to i żydów i inne narodowe żywioły; sprowadza zdaleka czem innem teraz zajętych Anglików i Francuzów; gdzie? do Dublan! i nareszcie rozpaczliwym, gardło rozdzierającym głosem wzywa w imię wiary i oświaty. Wysilenie było ogromne. Ale wyznajmy w pokorze ducha iż mimo wielkich przodków z Krakowa, Warszawy i Poznania, mimo pięciomilionowej ludności która jednakowo nie wszystka stanęła: bo pokazało się na końcu tylko 307 członków, nadto po większej części z sercami lodowatemi; mimo wielkich podróżnych z Londynu i Paryża, rozumie się w sperandzie; mimo wielkich taranów wiary i oświaty, sęk został sękiem. Dla czego? Bo na niego mówiąc po gospodarsku innego klina potrzeba. Nie pienistych szumowin, nie zaklęć, nie wykrzykników, nie logarytmów, tylko odrobineczkę zdrowego rozsądku i zimnego rejestrowego rachunku. Jakżeż to mości dobrodzieju? Jak? Obaczymy! A najprzód, czyliż to rzeczywiście Dublany tak zainteresowały nie mówię już oświatę i Europę ale naszą pięciomilionową ludność, iż się na ich nabycie składała? Popatrzmy czyli ten grosz wdowi, ten nędzny datek, te 20 tysięcy reńskich były rzeczywiście składką pięciu milionów? Podobno trzeba będzie coś ująć, czyli mówiąc po gospodarsku uczynić substrakcyę, po której ledwo zostaną tysiące, co bardzo siły umniejsza. Chodźmyż dalej! Czyż słusznem jest wymaganie aby ci co składali bo mogli, bo chcieli, bo takie było ich przekonanie, składali jeszcze i za tych którzy nie mogli, nie chcieli lub inne mieli przekonanie? Zapewne nie o to chodzi! Ale dla czego są tacy co niechcą lub inne mają przekonania? Bajprawie! Pierwsza zasada agronomiczna w każdem przedsiębierstwie obliczyć się ze zwojemi siłami. Chcieliście kupić Dublany, założyć szkołę wzorowego gospodarstwa, aby wydawała dla kraju naszego takie użytki jakie w innych krajach przynoszą tego rodzaju zakłady. Dobrze! Trzebaż było dla myśli waszej zyskać publiczność, trzeba ją było zająć i przekonać. Nie prawić o użyteczności towarzystw i szkół agronomicznych w ogóle; ale wzbudzić ufność i dać rękojmię, iż ten wasz zakład może być i będzie równie użyteczny. Dopiero mając odpowiedni materyał pod ręką brać się do wykonania. Ale nie kręcić bicz z piasku i jeszcze przeklinać piasek że nieużyty i sypki. *Quid licet Jovi non licet bovi.* Cóż z tego? Oto dowiaduję się z listów koleżki mego, rozumie się przez abecadło klasyczne, iż wielka część członków nie płaci rat czyli po gospodarsku mówiąc, występuje z towarzystwa, które do tego ma długi. Oto mi wzorowe gospodarstwo! Ależ panowie gospodarze! złożcie się i kupcie wieś profesorowi, a jeśli profesor długów narobi i powie w imię wiary, «złóżcie się jeszcze, bom wzorowy» czy pojdziecie do niego uczyć się manipulacyj? A cóż dopiero gdyby kilkunastu profesorów tego samego bąka ucięli? Widać iż postąpiliby jednozgodnie i według swych zasad; ale takie zasady niedawałyby rękojmi ich wiedzy, nie budziłyby zaufania. Jaki taki mógłby ze strachem powiedzieć: „Taż ci profesorowie nas zjedzą!" Otoż nie bardzo by się i wstydzili przed wielkiemi przodkami ci których posądzacie o obojętność na dobro kraju, dla tego iż na oślep składać nie chcieli, iż wyrabiali sobie z tego co widzieli inne przekonania. Kto chce kosztem publicznym nauczać, niech w przódy sam umie; a bawić się w piękne cele, w posiedzenia i uczelnie, to zabawimy się lepiej i taniej na reducie. Łatwo to wzywać do ofiar w imię wiary i oświaty, ale wiarę potrzeba wzbudzić, oświatę mieć i módz udzielić, aby te szumne imiona nie były tylko czczem brzmieniem. Nie każdemu dana jest nadzwyczajna łaska pojmowania iż sława narodowa wymaga po nim aby się składał na przepisywanie z niemieckiego na polskie pedantycznych rozwodzeń o ważeniu bydląt i zastósowanej do niej paszy na zimę. Czyż bez ważenia nie można już będzie przezimować bydlęcia? Jak we wszystkich naukach tak też i w agronomii jest różnica pomiędzy bibułą a życiem. Przykładami potrzeba wątpiących przekonać, upartych przezwyciężyć.

Kto ma silne przeświadczenie i wiedzę, jakim sposobem Dublany mogą się stać wzorem dla kraju i chlubą narodu, na tym cięży patryotyczny obowiązek.... a fundusze? Nie przechodzi to przedsiębiorstwo zamożności prywatnej, byle chęci! Czyż tylko kosztem narodu można naród kochać? Nie lubię rozwlekłości, dla tego kończę, nie zarzekam się jednak być dokładniejszym, data occasione.

Rozmaitość.

* Przybyła z Warszawy śpiewaczka, pani Rywacka występywała dwa razy, to w ustępach z oper, to w ariach włoskich lub polskich. Wszyscy podziwiają w niej metodę wyborną i grę mistrzowską. Głos pomimo spędzonych lat tylu na scenie jeszcze silny i czysty. Pani Rywacka, wykształcona we Włoszech, i tam dawniej występująca z nadzwyczajnem powodzeniem, ma wszystkie przymioty włoskiego śpiewu, a nawet i tę południową sentymentalność, która nam się manierowaną wydaje. Przy polskich pieśniach nawet ją zachowuje, chociaż w tych ostatnich burzę wywołała oklasków. W ogóle powszechność tutejsza przyjmowała ją z równym zapałem, jak przed dwoma laty młodą pannę Kłodzińską. Obszerniej o jej śpiewie aż po ostatniem przedstawieniu.

Przy pierwszem wystąpieniu pani Rywackiej odegrano dawno znaną komedyę, ale pod nowym tytułem: Fałszywy wielki ton. Widzieliśmy ją na scenie tutejszej, gdy Dawison grał rolę męża, a młodej wdowy rolę pani Aszpergerowa, starego wuja zaś pan Nowakowski. Zapewne że porównanie z dawniejszem obsadzeniem ról nie wypadnie na korzyść dzisiejszego. Teraz osobliwie rolę młodej, wesołej wdowy w nienajlepsze oddano ręce. Lecz zostawiamy osądzenie nowych w tym roku przybyłych członków sceny polskiej obszerniejszej rosprawie o stanie teatru polskiego w ciągu ostatniego roku, którą nam właśnie jeden z współpracowników naszych przyobiecał.

* Gdy mowa o śpiewaczkach wspomnieć musimy o lwowiance pannie Schapié która obecnie występuje w Odessie i tam z wielkiemi oklaskami ba nawet owacyami i kwiatami przyjmowana bywa.

* Bal wtorkowy na strzelnicy wypadł bardzo pomyślnie. Jego Excellencya ksiądz Arcybiskup zaszczycił go swą obecnością. Z początku było zanadto wiele natłoku, za ciasno do tańca. Lecz po 11. przerzedziło się, i hasano ochoczo, aż do piątej zrana. Dochód uczynił przeszło 500 złr. m. k.

* Ostatni bal na cel dobroczynny dany będzie w niedzielę. Urządzeniem zajmuje się izba handlowa, a korzyść przeznaczona na wsparcie funduszu pożyczkowego dla uboższych rzemieślników.

Biletów dostać można w księgarni Kallenbacha.

* Gazeta Lwowska doniosła, iż ostatni benefis pani Aszpergerowej dany będzie w krótce. Pani Aszpergerowej dawny kontrakt się

skończył, a nowego dyrekcya terazniejsza nie zawarła. Również ani z panem Smochowskim, ani z panem Rejmersem, ani z p. Starzewskim kontraktu nie zawarto. W jednym roku więc od ostatniej wielkiejnocy do następującej straciła i straci scena polska następujących artystów Pp. Nowakowskiego, Rudkiewicza, Radzyńską, Miłaszewskiego, Wisłockiego, Smochowskiego, Rejmersa, Starzewskiego, Kotowską i Aszpergerową.

Pani Aszpergerowa daje na benefis swój w poniedziałek komedyją: Co świat powie?.. przełożoną przez jednego z literatów tutejszych.

* Jak słyszymy w Poniedziałek daje bal J. Ex. hr. Lewicki.

* Trzystu ubogich w tutejszym domu ubogich, uprosiło sobie, aby w kościele ś. Łazarza w Sobotę o godzinie jedynastej odprawiono na intencyę szczęśliwego rozwiązania Jej Cesarskiej Mości, i zapraszają na tę mszę powszechność tutejszą.

Znaczenie poprzednich Szarad: 1. **Legumina**, 2. **Kubany**.

Szarada.

Pierwszą wszystko z sobą łączy
Drugą każda bajka kończy;
Wszystko znaczy strój dość znany
Na wsi zwykle używany.

Przyjechali od dnia 12. do 15. Lutego do Lwowa.

PP. Bielski Władysław, hr. z Rychcic. Nikorowicz Józef, ze Zboisk. Ochocki Zefiryn, ze Stryja. Żurakowski August, z Tyśmienicy. Serwatowski Wojciech, z Rajtarowic. Łoś Tadeusz, hr. z Narola. Skolimowski Julian, ze Żółkwi. Wiśniewski Wiktor, ze Strzelisk. Nurkowski Wincenty, z Byszowa. Dobrzański Stanisław, z Daszawy. Jaźwiński Aleksander, z Bortnik. Żukiewicz Konstanty, ze Złoczowa. Czermiński Juliusz, z Glińska. Laskowski Władysław i Jan Kanty, z Wojtkowa.

PP. Rozwadowski Wiktor, z Babin. Rylski Eustachy z Ostrowa. Nowosielski Wenanty, z Wojtkowa. Manasterski Józef, z Błażowa. Papara Henryk, z Zubowych mostów. Krzysztofowicz Jan, z Żabna.

Wyjechali dnia 12. do 14. Lutego ze Lwowa:

PP. Szawłowski Ludwik, do Krakowa. Czajkowski Hipolit, do Dytiatycz. Głogowski Antoni, do Bojaniec. Remer Erazm, do Stanisławowa. Ambrosiewicz August, do Stanisławowa. Tretter Konstanty, do Łonia. Tretter Hilary, do Dzwiniacz.

Kalinowski Władysław hr, do Bakowiec. Zatorski Tadeusz, do Zelechowa. Winnicki Tytus, do Liska. Milikowski Edmund, do Poddubiec. Załuski Józef hr, do Jasienicy. Stadnicki Edmund hr., do Przemyśla. Szawłowski Tytus, do Buczacza. Potocki Mieczysław, do Kociubińczyk.

Kurs telegrafowany z Wiednia 14. b. m. o g. 2. po połud

Augsburg za 100 złr. .	$128\frac{1}{8}$	Pożyczka 5% $82\frac{1}{4}$ $4\frac{1}{2}$	—
Hamburg za 100 tal. banco	$94\frac{1}{4}$	Akcye banku	1006
Londyn za 1 funt szterl.,	12 25	Kolej północna	1890
Medyolan za 300 lirów	—	Obl. ind.	—
Paryż za 300 franków .	$149\frac{5}{8}$	Nowa pożyczka z loteryą	$105\frac{1}{2}$
Agio duk. ces.	—	Pozyczka narodowa . .	$85\frac{7}{16}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówką towarem.

Dukat holenderski	złr.	5	kr.	54	złr.	5	kr.	58
Dukat cesarski	«	6	»	—	»	6	«	2
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	13	»	10	«	16
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	59	«	2	»	—
Talar pruski	»	1	«	55	»	1	«	57
Polski kurant i pięciozłotówka . . .	»	1	«	26	»	1	«	27
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	93	«	40	»	94	«	—
Obligacye indemnizacyjne z kuponami.	»	75	»	20	»	75	»	32
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		76	«	46	..	76	,.	58

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**